Rozmaitości

Dnia 31. Lipca | Ner. 31. | Roku 1841.

POWIEŚĆ Z ŻYCIA

PRZEZ

WINCENTEGO POHLA.

(Ciąg dalszy.)

Książę minister byłto człowiek światowy, dyplomat zimny, ale sprawiedliwy, bez uprzedzenia. Chłodny wzrok jego przyprowadził mnie do opamiętania. Jenerał M*** przygotował rzeczy należycie, zaraz po przedstawieniu zostaliśmy do biura ministra przyjęci i przy boku jego obok sekretarza stanu umieszczeni. Co nam najwięcéj dopomogło do tego, był prócz protekcyi jenerała M*** język francuzki. Tutaj tedy przyszła mi w pomoc nauka kamerdynerów ojca mojego, a rzetelnie mówiąc był język francuzki macierzystym moim językiem, bo matka moja jako dama wielkiego niegdyś świata, nie mogła odwyknąć od téj francuzczyzny, i w domu nie mówiliśmy z nią inaczéj, jak za zwyczaj po francuzku.

Gdy mnie w biurze i w salonie księcia ministra ujrzano, poczęli się niektórzy z krewnych moich zwolna do mnie przybliżać, a nawet przyznawać. Hrabiowie Ł***, którzy do jednéj z pierwszych rodzin w kraju należeli, wzięli mnie w protekcyją swoję. Puściłem się w świat salonów po raz drugi w życiu. Dziwna rzecz! z dzieciństwa powziąłem o salonach tak przesądne wyobrażenie, że je za siedlisko nieszczęścia uważać nawykłem, i że z trwogą tylko myślałem zawsze o nich. Teraz wydały mi się zupełnie inaczéj. Ten pozór wyższéj cywilizacyi i dobór towarzystwa miał dla mnie powab nowości. Nie mało przyczyniła się do tego i miłość własna; wszędzie, gdziem się pokazał, byłem pożądanym gościem, wszędzie chwalony i zapraszany.

»*Comme il est bien! quelle tournure! quelles manières elegantes! quelle politesse facile et de bon goût, comme il joue bien du clavecin! que sa physionomie est pâle et quel interêt inspire-t-il du premier abord! quelle pronontiation! où était-il elevé?*« mówiły damy i więcéj nie potrzeba. Starzy niby przyjaciele ojca mego poczęli zławiać w też tropy na głos dam.

»Co to za fortunę miał ojciec! jak żył! co to za piękna familija! szkoda, że ten chłopiec bez majątku. Potrzeba go protegować, majętnie ożenić!« -

Rzeczywiście zaś zajmowało to tylko wszystkich, że się nowa figura w salonie zjawiła, i że było o czém mówić na czas niejaki, że się można było z protekcyją i wpływem popisać. Po cztérech miesiącach zapytał się jenerał M*** księcia ministra: »*Mon Prince, comment avez-vous trouvé mes recrues?*«

»*Assez bien*« rzekł minister, »*Monsieur Leon promet beaucoup, il soutient la conversation avec une legereté vraiment admirable, quand il faut parler sans motif, et il parle peu, quand il ne manque pas de sujets. Il conçoit la chose sans difficulté, sa langue est claire et parait toujours promettre, quoiqu' il n' assure rien; il est parfaitement tourné. Monsieur Leon semble avoir du caractère, je compte l'envoyer à St. Petersbourg, il sera diplomat.* Ale hrabia Władysław«, dodał po polsku — »trochę mi za nadto berżerkowaty. *Il a de succès au salon.*

il plait generalement, il faudrait cependant qu'il sache que le bureau d'un Ministre n'est pas celui d'un feuilletoniste. Il est trop exalté, c'est qu'il n'a jamais vecu dans le monde.« Książę minister skarżył się tedy na moję exaltacyją, a jam rozumiał, żem się już stał najrealniejszym człowiekiem w świecie. — Dzień cały byłem w biurze, w wieczór w salonie, na koncercie lub w teatrze; przebiérałem się na dzień dwa, a czasem trzy razy; krawiec i fryzyjer był prawie codziennym gościem moim i pełen pularesik miałem kart wizytowych. Taką bowiem instrukcyję dał nam jenerał na wstępie w nowy zawód, a jego rozkazy były święte dla nas. Dawni przyjaciele nasi opuścili nas przy takim sposobie życia, dalsze kształcenie się zostało przerwane, księdza Pijara stracilíśmy zupełnie z oczu, nawet matce mogliśmy zaledwo jakąś chwilę dnia poświęcić. Jedna godzina popychała drugą i tak szło dalej a dalej. Zégarek stał się panem naszym i do tchu przyjść nie można było; praca popychała zabawę, a zabawa pracę, resztę czasu zajmowało ubiéranie. Czasem, kiedyśmy chwilę wolną dla siebie upatrzyli, spoglądaliśmy na siebie z Leonem z pewnym wyrazem żalu, i zdało nam się, że nas ktoś okradł. Noc tylko była moją, do niéj tęskniłem jak do straconego szczęścia; w ówczas dopiéro mógłem bez przeszkody myśléć i marzyć o Julii; listy jéj do Leona i matki mojéj pisane, były jedyną pociechą moją, a nadzieja, że się z czasem czegoś na téj drodze dorobię, że pojmę Juliję jak swoję, że się stanę pomocą méj matki, ułatwiała mi ciężar téj pracy i położenie moje do świata, dla którego nie byłem stworzony. Zdawało nam się częstokroć, że bylebyśmy się raz w to życie wdrożyli, bylebyśmy się wkupili pracą i zasługą do tego wielkiego świata, to my go i przerobim' z czasem i nakierujem' do naszych wyobrażeń o życiu. Myśl ta przejmowała świętym zapałem, dodawała nam odwagi i siły, bo cóż się to młodym nie roi! W młodości nie przypisujemy nikomu złéj woli, ale tylko brak należytego poznania i osądzenia rzeczy, a sobie przypisujemy dosyć siły i cnoty na zwalczenie wszystkiego złego w świecie, w ówczas, kiedy nawet nad sobą samym panować jeszcze jest trudno. — Wkrótce okazało to się, żem jeszcze po téj posadzce chodzić nie umiał, na któréj innych w tańcu mistrzować chciałem. — W każdém kole wyższego towarzystwa bywa najmniéj jedna taka dama, która w niém jest samowładną panią, która wszystkich zdania zawojuje i potém wszystkich protekcyją swoją i łaską zaszczyca, albo gniewem i niełaską niweczy. Nikt nie lubi jéj prawie, a jednak wielką zwykła miewać partyją. Jéj to muszą się pokłonić naprzód młode mężatki, kiedy w świat wchodzą, o jéj łaskę muszą się starać matki, mające córki na wydaniu, ją potrzeba ująć sobie otwiérając dom w stolicy, jéj służą wszyscy żeniący się kawalerowie, ona jest wyrocznią opinii, barometrem mody, ona rządzi wszystkiémi.

»*Vous nous donnerez un bal, j'en ferai les honneurs. — Vous nous donnerez le the. — Vous nous arrangerez une course de traineaux. — Vous passerez pour Votre fille le carnaval dans notre capitale.*«

Na młodych chłopców przypada staranie około karety, wierzchowych koni i bukietów, wysadzanie z powozu i do powozu na wizytach, w teatrze, i służba w loży.

Na starych modnych kawalerów przypada dawanie wytwornych podwieczorków.

Dokładne raporty tego wszystkiego, co się wszędzie dzieje, należą do starych panien i ciotek bezdzietnych. — Wszyscy służą jéj bez szemrania; jeżeli się jeszcze zalotność do takiego talentu administracyjnego przywiązuje, na ówczas stają się podobne panie prawdziwą chłostą pięknych panien, cnotliwych mężatek i młodych panów, czy to żonatych czy kawalerów.

Ja miałem to nieszczęście, żem się takiéj kobiécie podobał, pani Z***; ale cóż, kiedy nie znając kolei wielkiego świata, pominąłem ją z-razu, i już znano mnie prawie we wszystkich salonach, kiedym jéj nie był jeszcze prezentowanym. Postanowiła tedy ukarać mię za to i dała sobie słowo, że mnie rozkocha.

Kiedy to spostrzegł jenerał M***, mówił: iż potrzeba być ostrożnym, ale nie należy się jéj sobie narazić, bo cała karyjera stracona. Musiałem tedy jéj służyć, musiałem być grzecznym, musiałem bywać w domach,

gdzie i kiedy tylko mi kazała. — Z każdym dniem miałem większą wziętość w salonach, ale sumienie moje piekło mnie jak zbrodnia. Począłem pogardzać sobą i obłudą moją, bo w istocie nie lubiłem téj kobiéty. Zejść z téj drogi nie mógłem, bo ona tylko wiodła do lepszéj przyszłości, a iść nią daléj nie miałem siły, ni odwagi, i niełatwo też było, bo pani Z*** była wyćwiczoną mistrzynią w rzemiośle miłostek. Na dobitek jeszcze wszystkiego wyprawił książę minister Leona w sprawach rządowych do St. Petersburga.

Jenerał M*** wiedział, że ja tu gładko nie wybrnę z téj sprawy i postarał się tedy o to u księcia ministra, żeby i mnie wyprawiono z Warszawy. Tak jednak, żem ja nic nie wiedział o tém. O północy zbudził mnie sekretarz ministra. Rozkaz odebrałem, depesze, paszport, pieniądze na drogę i kazano mi jechać do W***, a powóz z pocztowémi końmi czekał już przed bramą. Zaledwom miał tyle czasu, żem matkę pożegnał. Wyjechałem. W pół drogi jednak dopędził mnie kuryjer i oddał rozkaz, żebym mu oddał depesze, a sam z drugim rozkazem opieczętowanym stawił się na granicach państwa u piérwszego komendanta placu.

Zdziwiło mnie to wprawdzie, ale jako kazano, zrobiłem — lecz jakież było zadziwienie moje, gdy mi oświadczył komendant placu, że jestem aresztowanym. Powózka zaszła i dwóch żandarmów odstawiło mnie do twierdzy Z***.

Będąc niewinnym, byłem pewnym, że zostanę wkrótce uwolnionym – ależ matka moja, ależ Julija! Ta myśl przejmowała mnie trwogą — i nie darmo.

Nieporozumienie, które na mnie podejrzenie ściągnęło, wyjaśniło się bez wpływu mego nawet i tłumaczenia. Po trzech tygodniach zostałem uwolniony, a kiedym do Warszawy powrócił, byłto dzień trzeci po pogrzebie matki mojéj. Rozpacz rzuciła mną o ziemię, choroba przyszła mi w pomoc; ksiądz Pijar, któregom zastał w pustém pomieszkaniu matki, który tam powrotu mojego wyglądał, złożył mnie na łóżko i pilnował w chorobie. Sześć tygodni byłem bez przytomności, w malignie, widziałem tylko matkę konającą. Kiedym począł przychodzić do siebie, ujrzałem się w pomieszkaniu jenerała M***. Nie wiedziałem, co się ze mną działo, budząc się z tak długiego snu; nie pytałem o nic, ale czułem to, że matki więcéj nie zobaczę — ; reszta świata była dla mnie obojętną. — O i niemoc jest szczęściem, bo boleść nie ma władzy nad nami! Zwolna tylko przychodziłem do siły, do dawnych myśli i uczuć. Leon nie pisał, od Julii nie było listu, i do kogoż miała pisać? matka moja nie żyła, Leona nie było. W takim letargu upłynęło trzy miesiący prawie, zanim siły moje powróciły. W tym czasie przychodził codziennie kamerdyner pani Z***, dowiadując się o me zdrowie. Jenerał opowiedział mi rzecz całą, jak niesłusznie zostałem oskarzony; mówił, że się najwięcéj do uwolnienia mojego pani Z*** przyczyniła, że się minister o mnie pytał i że potrzeba do dawnych obowiązków powrócić. — Książę minister przyjął mnie uprzejmie i upewniał, że ten wypadek nie wpływa bynajmniéj na przyszłą karyjerę. Przyjęcie pani Z*** rozrzewniło mnie nawet; łzy stanęły w jéj oczach, gdy mnie ujrzała i od tego czasu nie była tak natarczywą, jak dawniéj. Od śmierci matki upływał już piąty miesiąc wprawdzie, ale smutek mój nie opuszczał mnie. Salony były mi nieznośne, potrzebowałem samotności i prosiłem panią Z***, w któréj teraz codziennie inną kobiétę poznawałem, aby mnie przed światem usprawiedliwić raczyła, iż bywać nigdzie nie mogę; u niéj bywałem tylko w tenczas, kiedy nie miewała gości.

Napisałem kilka listów do Leona, nie odpisał mnie, i późno dopiéro dowiedziałem się od księcia ministra, że jest przy ambasadzie w Stambule. Napisałem list do ciotki Julii, drugi i trzeci, nie odebrałem odpowiedzi i nie wiedziałem, com miał sądzić o tém.

Raz — byłto wieczór u księcia ministra — książę przyjmował znakomitego gościa, lorda W*** i mówił mi, żebym był na wieczorze, a kiedy dyplomatyczne osoby przyjmował, były takie zaprosiny rozkazem. Znużony towarzystwem, udałem się do *budoaru* męzkiego. Tutaj siedziało na sofie dwóch moich znajomych w poufałéj rozmowie, usiadłem obok nich i słuchałem co mówili:

»Nudny Anglik!«

»Nudny, bo nudny, ależ pan!«

»Czy przez karnawał zostaniesz w stolicy?«

»A to pytanie! Jużciż się nie kocham na wsi!«

»*A propos* wsi i kochania—pięknie się wykierował Karol—czy wiész?«

»Cóż takiego?«

»Kocha się.«

»No! i cóż dziwnego?«

»Ale kocha się i będzie się żenił.«

»Nic w tém nie widzę dziwnego.«

»Ale proszę cię! taki światowy, taki majętny chłopak, Paryżanin i pięknie się wykiérował: żeni się z jakąś gołą szlachcianką w sandomiérskiém, jak mówią z gąską tłuściutką!«

»No! kiedy tak, to jeszcze niewielki strach, tom spokojny o niego—on się bawi.«

»Ale piękne mi bawienie, jest już po deklaracyi, a ciotka panny pojechała do R*** robić wyprawę.«

Dziwnie niemiło tknęła mnie ta rozmowa, nie pytałem się jednak, o kim mowa i zostawiłem ich. Lecz kiedym nazajutrz zapytał jenerała M***, ktoby to taki mógł być ten Karol bogaty, Paryżanin, co się w sandomiérskiém żeni? rzekł do mnie: »To już wiész widzę o wszystkiém.«

»Dla Boga! o czém?«

»Że Julija po deklaracyi.«

»Kto?—Julija!?—z kim?«

»Z hrabią Karolem, dalekim kuzynem pani Z***, list jego pisany do niéj, czytałem sam, oświadczył się.«

»A Julija?«

»Przyjęła.«

»To być nie może!!!«

»Jest tak—mam na to list ciotki Leona i nie dziw się. Julija jest ubogą panienką, a Karol człowiek majętny. Ty jesteś młody i nié masz chleba.«

Jakież było przeznaczenie moje! Z ust księdza Pijara dowiedziałem się o śmierci matki, a z ust jenerała M*** z zamęźciu Julii! Niczego nie brakowało, jak tylko, żeby mnie Leon zabił. Zaśmiałem się dziko i byłem taki wesół i lekki jak szatan, kiedy człeka zgubi. Przed śmiercią matki możebym nie był zniósł tego ciosu, ale teraz—ha stało się!

Teraz dopiéro pojąłem, dla czego Leon nie pisze, dla czego ciotka Julii mi nie odpisała; chciałem się pomścić na Karolu, na Julii, na sobie, a kiedym wykipiał, odwiedziłem téj nocy jeszcze księdza Pijara. On wiedział już o wszystkiém. »Siadaj« rzekł do mnie, »i nie obwiniaj świata ani ludzi, tylko siebie. — Powiédz mi, czyś się dawno rachował z sumieniem?«

Ja bluźniłem na to zapytanie.

»Milcz!« rzekł mi, »większy Bóg niż twój język i rozum niesforny; większa prawda, niż boleść człowieka! Powiédz mi, czyś się dawno rachował z sumieniem? Zapytaj sam siebie, czyś zasłużył na to, żebyś był szczęśliwym?«

Ja milczałem.

»Gdzie twój dziennik?«

»Nie piszę go od czasu, jak w służbę wstąpiłem.«

»Więc bez opamiętania żyłeś tyle czasu? i dziwisz się, że ci poszło krzywo?«

»Nie miałem czasu.«

»Nie miałeś czasu? Oddać jednę chwilę dnia tego Bogu, który cały od niego wziąłeś? i kiedy kto po pijanu żyje, ma mu wyjść na dobre? Spraw mi się z tego, coś robił—począłeś lekkością, a kończysz na rozpaczy... oto są nikczemne dzieje twoje, odkąd w świat wstąpiłeś. Siebieś tylko kochał i to samolubstwo ogłuszyło sumienie twoje, a teraz, kiedy się masz złożyć przed Bogiem wielką pokorą, to ty bluźnisz i nie dajesz nawet przystępu słowom pociechy i wiary!«

»Ojcze! jam nie winien, jam tylko nieszczęśliwy!«

»Co cię unieszczęśliwia?«

»Strata matki!—zdrada Julii!«

»Powiédz raczéj, żeś ty Julija zdradził, a matkę zabił.«

»Jak to?«

»Siądź! a teraz odpowiadaj: Przyrzekłeś Julii wiarę w obec matki i Boga?»

»Przyrzekłem.«

»Dla czegoś łudził grzecznościami panią Z***?«

Bo mogła mnie zgubić—bo w jéj ręku leżał przyszły los mój—bo jenerał M*** tak chciał.«

»Zgubić? Nawet Bóg nie zgubi człowieka, jeżeli człowiek sam siebie nie zgubi, nie dopiéro kobiéta! Do zapewnienia losu i szczęścia nie prowadzi krzywa droga. O matce nic mi nie mów. Matka twoja miała przyzwoite życie do śmierci i nie potrzebowała twéj pomocy. Jenerał M*** radził, żeby sobie pani Z*** nie narażać, bo jenerał M*** trzyma się tego, co jest; ale ty śpiéwałeś mi zawsze o poświęceniach! Jenerał M*** radził, ale byłby cię uściskał pewnie, żebyś mu był powiedział: To nie prosta droga, ja nie pójdę nią! — Kobiécie i to przewrotnéj powierzyłeś twój los i rozumiałeś, że wyjdziesz wysoko, nie kierując sam losem twym rozumiałeś, że się wyrabiesz w życiu bez woli? Cała stolica mówi o twoich miłostkach z panią Z***, a tyś rozumiał, że się ciotka Julii o tém nie dowié? Rozumiałeś, że przez łaskę wszetecznicy prowadzi droga do ołtarza i świętych

ślubów? Julii dusza jest czystsza, ona to wzięła za zdradę. Jako siérota potrzebuje losu; ale jeżeli będzie nieszczęśliwą w tém stadle, na ciebie padnie wina, boś ty jéj pokazał drogę do złego: miałeś być jéj podporą i przewodnikiem w życiu.... Rozumiałeś, że wolno być trochę złym, że można coś z przekonania swego ustąpić dla świata, że wolno coś zrobić dla przewrotności, a nic dla cnoty; że rzeczy dobry koniec wezmą, kiedy się je tylko na połowę robi? Nie dla tegoś poszedł służyć, żebyś obowiązku swego dopełnił jako człowiek i obywatel w kraju, nie dla matki swojéj, ale dla tego, żebyś miał żonę? Jesteś ukaranym. Żony mieć nie będziesz, matkę straciłeś, a powinność, a służba jest ci ciężarem. Założyłeś sobie to za cel życia, co miało być nagrodą spraw poczciwych. Co zamyślasz teraz robić?«

»Nié wiém.«

»Spodziéwałem się takiéj odpowiedzi. Pani Z*** będzie cię nakłaniała, żebyś dalej służył i ty usłuchasz zapewne.«

»Ojcze!« rzekłem, »cokolwiek świat mówi o stosunku moim do niéj, upewniam cię na cienie méj matki, że jest nieprawdą!«

»Wiém o tém, bo znam cię. Cóż daléj?«

»Ja jestem jéj winien uwolnienie moje, a zatém i wdzięczność. Ona przyłożyła się do wyjaśnienia nieporozumień, które na mnie cień podejrzenia rzuciły.«

»Tak! Ona uwolniła cię, bo na jéj oskarzenie byłeś uwięziony.«

Tu dopiéro otworzyły mi się oczy: wysłanie Leona, przejęte listy, mój nagły wyjazd, milczenie ciotki Leona, poswatanie Karola z Juliją, to wszystko były czynności i skutki jednéj zręcznie osnutéj intrygi, któréj sideł ujść nie umiałem.

»Ojcze! i ty wiedziałeś o tém wszystkiém i nie ostrzegłeś mnie?!« mówiłem z żalem.

»Czyż mogę ci dać mój rozum, moję wolę, moje sumienie, żeby cię zawsze wiodło? Człowiek ma stać sam sobą—; albo czy sądzisz, że nieszczęścia i cierpienia są już największém złém, które człowieka spotkać może? O tém, co ci dziś mówię, nie wiedziałem, ale że tak przyjść musiało, że źle będzie, spodziéwałem się.«

Tutaj począłem wyrzékać na nowo na siebie, na ciemne moje przeznaczenie, na złość ludzką. Chciałem uciekać w pustynię, chciałem się zamknąć w murach klasztoru, by nie widzieć świata i ludzi.

»Bóg pogardza ofiarą, któraby się nawet ludziom za lichą wydała«, rzekł ojciec. W pustynię chcesz uciekać? klasztornym murom chcesz oddać twe życie?... A dla czego? bo nié ma wartości dla ciebie?... Nie! idźno ty w świat i odbądź tam nowicyjat twardy!«

»Co mam z sobą począć?«

»Powiédz sobie, że nie za szczęściem chcesz gonić, ale za tém, żebyś był dobrym, to prosto pójdziesz...« A po chwili dodał: »Idź do wojska.«

Piérwszy raz w życiu pojąłem rezygnacyją; jakaś chłodna spokojność wstąpiła do méj duszy. Sam ujrzałem się na świecie!... Zapłakałem cichémi łzami po matce, po Julii, raz ostatni; a potém dźwignąłem ten ciężar boleści mojéj bez szemrania, i zdało mi się, że mi sił przybyło... Samotna odtąd poczęła się droga, bez kwiatów, bez pieśni, bez ozdoby; dzień był bez cienia, noc bez spoczynku. Obcy ludzie, obce strony, mustra, służba; a jednak stał się z czasem pułk światem, szwadron przyjacielem, broń zabawą, koń pieścidłem. Jenerała i księdza Pijara B***, stolicę i salony, przyjaciół młodości i znajomych wielkiego świata, wszystko straciłem z oczu. Leon gdzieś przepadł, o Julii nie słyszałem. Wszystko zdało mi się snem, i to, co było, i to, co jest. Dziwna jednak rzecz, żem się do tego samego pułku dostał, który spotkałem jadąc z matką w sandomiérskie. Żołniérz był ze mnie dobry, bom pełnił powinności ściśle i żyłem o gołym żołdzie. Trąba jest niezłém lékarstwem na smutek. Po dwóch latach służby, byłem na posełce u księcia; silnie robiłem bronią, książę lubiał to, lecz potrzeba takiego wypadku, że kiedym na komendę księcia pałaszem robił, pękła klinga i koniec jéj ustrzągł w podłodze i zadrżał jak sprężyna.

»Temu żołniérzowi potrzeba dać lepszą broń«, rzekł książę w dobrym humorze do jenerałów, »bo on połamie wszystko!« i kazał mnie przedstawić do szkoły, z-kąd oficerowie na całą armiję wychodzili.

Jakież było zadziwienie moje, kiedym tam ujrzał Leona w mundurze! Ze łzami rzucił mi się na szyję.

»Co ty tu robisz?« zapytałem. »Jakto? To i ty w wojsku?«

»Nie pytaj o nic« rzekł mi. »Zapomnijmy o tém, co było!«

Ja nie śmiałem o nic pytać. Leon nie wspomniał nigdy o méj matce, ani o Julii.

* * *

Tu przeszedł się Władysław po pokoju, i zatrzymał się potém przed stolikiem, na którym doniczki z kwiatami stały. »O biédne moje róże! Jakże pragną wody! A jakie poczciwe cztéry kwiaty i dwa pączki...« Wziął butelkę wody, podlał je i oberwał kilka z-żółkłych listków.

* * *

Ostatni okres życia mojego jest jeszcze krótszy. Dostałem się na tę stronę Wisły. Wkrótce urzędnik cywilny, pytał o nazwisko moje, o miejsce urodzenia i stosunki familijne. Złożyłem mu patenta i papiéry, jakie miałem, a on rzekł mi, kończąc protokuł z uśmiéchem: »Winszuję wpanu, zostałeś dziedzicem wielkiego majątku! Stryj wpana dowiedział się o nim, że tu jesteś, zrobił testament i umarł przed miesiącem, a wpan jesteś spadkobiercą.«

Objąłem tedy majątek i mieszkam tu od lat trzech. Ostatnia wola mego stryja i warunki, jakie mi nałożył, opiéwają: »Zapisuję synowcowi memu cały mój ruchomy i nieruchomy majątek pod warunkiem, żeby każdemu dziadowi, którego spotka, dał grosz za dusze zmarłe; żeby utrzymywał kapelę w parafijalnym kościele ojczystéj wioski naszéj, a zawsze mi jeździł cztérą siwémi końmi.« Że zaś ostatnią wolę mego stryja sumiennie spełniam, temu przyświadczą całéj okolicy dziady. Nasz ksiądz proboszcz przyświadczy, że mamy kapitalną kapelę kościelną, a siwki moje znacie wszyscy... Kto z panów radzi mi, abym się żenił?..... Marcinie! nakrywajcie, niech dają do stołu!—

(Dokończenie nastąpi.)

INOCENTY KULCZYCKI.

Z RĘKOPISÓW DYONIZEGO ZUBRZYCKIEGO.

Słuszna jest rzeczą wspomnieć o współziomku naszym, bez względu, gdzie i na jakiéj drodze zjednał sobie chwałę, sławę i zasługi; do rzędu tych mężów liczyć można Inocentego Kulczyckiego.— Przy końcu siedemnastego wieku urodził on się w kraju naszym z znanéj i licznéj szlachecko-ruskiéj rodziny Kulczyckich. Rok jego urodzenia równie jak i chrzestne imię nie wiadome, imię bowiem Inocentego zostawszy biskupem przybrał. W młodości słuchał nauk w kijowskiéj duchownéj akademii i tamże w Pieczarskiéj Ławrze na czerńca postrzyżony. Zamiłowanie jego w naukach i osobliwsze zdolności, których dawał dowody, spowodowały przełożonych zakonu, że go swym nakładem dla wyższego naukowego wykształcenia, wysłali do Moskwy, gdzie w słowiano-grecko-łacińskiéj akademii, od roku 1714 do 1718 poświęciwszy się naukom, stopień akademiczny prefekta osiągnał. Z Moskwy przeniesiony do Petersburga i tamże w aleksandrowskim monasterze przełożonym czyli sobornym Jeromonachem mianowany.— W roku 1721 postanowił Imperator Piotr Wielki, ażeby zamiast archimandryty, którego rząd rossyjski w Pekinie w cesarstwie chińskiém utrzymuje, biskup tamże wysłany został, i wybór jego padł na Jeromonacha Kulczyckiego, z nauki, biegłości w językach, pobożności, łagodnych i uprzejmych obyczajów sobie dokładnie znajomego. W tym zaraz roku poświęcony został Kulczycki na biskupa peresławskiego i wyprawiony do posła rossyjskiego w Pekinie Izmailowa z poleceniem, ażeby dotychczasowego w Pekinie Archimandrytę Antoniego Płatkowskiego do Irkucka odesłał, a na miejscu jego biskupa Inocentego osadził. Uwiadamiające o téj nominacyi rozporządzenie imperatorskie przesłane zostało do Pekina, lecz nie zastało już tam Izmaiłowa. Rząd chiński odebrawszy to pismo, odesłał je wraz z notą mungalskiego Tuszety Chana Oczyroja Balu na powrót pogranicznemu komendantowi rossyjskiemu w Selengińsku, uwiadamiając, że w moc ukazu Bogdychana (tak Rossyjanie zowią Cesarza chińskiego) Inocenty Kulczycki do Pekinu przyjęty być nie może, albowiem nie odebrano od Gubernatora sybirskiego, ani żadnéj względem niego urzędowéj odezwy, ani znaku pieczęci, które na wypadek wzajemnéj między rządami korespondencyi, Izmailowu pod czas pobytu w Pekinie przez rząd chiński wręczone zostały. Musiał zatém Inocenty aż do 1725 roku pozostać w Selengińsku, z-kąd za rozporządzeniem synodu, przeniósł się do Irkucka i tamże w wozneseńskim monasterze osiadł. W r. 1726 powtórnie zalecono mu udać się do Selengińska, tym celem, ażeby wraz z posłem Sawą Władysławiczem hrabią Raguzińskim, odprawił podróż do Pekinu. Na granicy przyjęli ministrowie chińscy hrabiego z wielką grzecznością, wszelakoż odmówili wstępu w kraj chiński biskupowi Inocentemu, a to z téj przyczyny, że Gubernator sybirski w liście swym do trybunału mungalskiego, nazwał Inocentego wysoką duchowną osobą i wielkim panem; zaś u nich wielkim panem, jak Chińczycy rossyjskiemu ajentowi Langowi oświadczyli, zowie się ich Kutuchta, to jest najwyższy kapłan, a tak ponieważ już mają jednę osobę tak wysokiéj godności, drugiéj wcale nie potrzebują.— Przypisywano to odmówienie obcym intrygom; cokolwiekbądź hrabia Raguziński zmuszony został wziąć z sobą do Pekinu zamiast biskupa dawnego Archimandrytę Antoniego Płatkowskiego, i od tego czasu wyprawiają tam tylko archimandrytów z tytułem starszych kapłanów. Pozostał zatém Kulczycki w Syberyi i mianowany w roku 1727 wikaryjuszem Metropolity tobolskiego jako biskup irkucki i nerczyński i mieszkając w monasterze wozneseńskim, opowiadał słowo boże różnym pogańskim pokoleniom w tamtych stronach i wielu do przyjęcia chrztu św. skłonił.

Swym własnym nakładem piérwsza założył w Irkucku szkołę dla dzieci wszelkich stanów, trudniąc się nawet osobiście nauczycielstwem. Przeniósł się do wieczności 26go listopada 1731 i pogrzebiony w Pieczarze pod drewnianą cerkwią Matki Boskiéj. — W roku 1804 policzony w poczet błogosławionych, których wielbi cerkiew wschodnio-rossyjska.

ZE LWOWA.

Tygodnika rolniczo-przemysłowego pod Redakcyją T. W. Kochańskiego, wyszedł Nr. 30. i obejmuje: 1) Jak głęboko uprawa roli powinna się uskuteczniać. 2) O suszeniu kory garbarskiéj i ztąd wynikających korzyściach dla gospodarstwa lasowego. 3) O słodzie świeżym, czyli niesuszonym. 4) Sposób angielski solenia masła. 5) Literatura. 6) Wiadomości czasowe. 7) Sprawozdanie o jarmarku na wełnę we Lwowie. (Dokończenie).

Z Wiednia: Z początkiem maja r. b. wydał tutaj pan Bętkowski w języku łacińskim rozprawę dla dostąpienia stopnia doktora medycyny, traktującą o historyi medycyny w Polsce, od najdawniejszych czasów, aż do r. 1622. Jak sam w przemowie swojéj nadmienia, trzymał się zupełnie dzieła Gąsiorowskiego: *Wiadomości do historyi medycyny w Polsce.* Pan Bętkowski uczynił tém jednak przysługę piśmiennictwu naszemu, iż poznał cudzoziemców z historyją medycyny naszéj dawnej; tudzież, iż szczególnie w przemowie wiele namienił rzeczy, tyczących się nowszej historyi lekarstwa polskiego i udowodnił zarazem, że część wynalezienia nauki kraniologii nie Gallowi się należy, jak powszechnie dotąd mniemano, ale Janowi z Głogowa, profesorowi krakowskiemu; jakoteż że naukę fizyognomii nie Lawater wynalazł, ale Szymon z Łowicza, także profesor akademii krakowskiéj. Lubo o rzeczach tych niektórzy polscy pisarze namieniają, jednak cudzoziemcy nic o tém nie wiedzieli, a ziomkowie bardzo mało. Dla braku miejsca, pan Bętkowski tylko w krótkości dowodzi w dziełku rzeczoném o tém wszystkiem, co jednak z wielką ciekawością i publiczność lekarska i profesorowie czytali. Zachęcano przytem pana Bętkowskiego, aby po przybyciu do kraju punkt ten lepiéj jeszcze udowodnił, gdyż mając sposobność przejrzenia książki Jana z Głogowa i Szymona z Łowicza, łatwo może porównać naukę ich z nauką Galla i Lawatera, i o ile ci z polskich pisarzy czerpali, nie wspominając nic o takowych. Żądaniu temu zapewne pan Bętkowski nie omieszka zadosyć uczynić, gdyż przy tak znanych zdolnościach swoich, pracuje ciągle w zawodzie swoim i w piśmiennictwie ojczystém, mając na uwadze, iżby się wielce przysłużył piśmiennictwu naszemu wyjaśnieniem téj rzeczy. (*Wyciąg z listu.*)

Z Wilna: Pan M. Grabowski skończył powieść swoję: *Stanica Hulajpolska*, o któréj już dawniej była wzmianka. Znakomity ten pisarz pracuje teraz nad nowym tomem *Literatury i krytyki*, który wyda pod tytułem: *Przeglądu czy też pomnika literatury i krytyki.* Tom ten poświęcony będzie rozbiorom dzieł w ciągu roku wyszłych. — Mamy nadzieję wkrótce usłyszeć nowy utwór pana Moniuszki, operę pod tytułem: *Twardowski*, pióra pana Oskara Milewskiego. Prace nad nią blizkie są ukończenia. Rękopis, który miałem pod ręką, co do treści poetyckiéj i wypracowania, wyższe zajmie miejsce między znanemi dotąd operami polskiémi. Com dotąd słyszał z partytury, każe mi żałować, że ubogi nasz w śpiewaków teatr, ma ją po raz piérwszy przedstawić światu. Dla talentu pana Moniuszki Wilno nie jest dość wielkiém polem do rozwinięcia się, a los tak miłéj muzyki jaka jest w *Ideale* (słowa Oskara Milewskiego) raz dopiéro przedstawionym, mało może dodać ochoty do dalszych prac naszemu kompozytorowi. (*Czas.*)

Nagroda za najlepszy dramat. Chociaż dramatycy francuzcy w tworzeniu dzieł teatralnych bardzo są płodni, jednakże na napisanie prawdziwie mistrzowskiego dramatu do tychczas się zdobyć nie mogą. Rozpisaną przez akademiję paryską r. 1831 nagrodę 10,000 franków za najlepszy pięcio-aktowy dramat, — bądź trajedyję, bądź komedyję — przedłużono aż do pierwszego stycznia 1844 r.

Ludwik Tieck w Dreźnie, Jakób Grimm w Berlinie i profesor Wachsmuth w Lipsku, otrzymali order francuzkiéj legii honorowéj, jak słychać na zalecenie pana Thiersa.

Wędrówka narodów za pomocą siły parowéj. Że statki parowe i koleje żelazne zbliżają do siebie wszystkie najoddaleńsze punkty i obudzają ochotę do podróży, jest rzeczą o któréj dostatecznie już rozprawiano; ale żeby te statki i koleje w przeciągu kilku godzin o 15 mil wyrzucić mogły masę podróżnych, do wędrówki narodów podobną, tę osobliwość dopiéro Albion miał pokazać. I tak dziennik *Morning-Chronicle* pod dniem 2go czerwca donosi: iż na Zielone Świątki w poniedziałek od czasu jak pamięć ludzka zasięga, nigdy nie było tyle osób na zaczynającym się jarmarku w Grenwich, jak dnia 31. maja 1841 r. Podobnie jak chmura nadciągnęli tamże na statkach parowych i kolejach żelaznych mieszkańcy Londynu, tak, iż na same Zielone Świątki przeszło dwakroć sto tysięcy ludzi, którym najpiękniejsza pogoda sprzyjała, w Grenwich się znajdowało. Same tylko statki na tamtejszéj kolei odjeżdżające co kwadrans, przywiozły 20,000 osób. Następnie czterdzieści okrętów parowych, z których każdy nie brał naraz mniej nad 400 osób (statek parowy *Royal-Sovereign* zabrał jedną razą nawet 1400 ludzi), odwoziły ciągle i przywoziły podróżnych, tak, iż Tamiza w niektórych miejscach prawdziwym portem być się zdawała. W przeciągu mniej niż dwóch godzin, odbyło czterykroć sto tysięcy osób bez najmniejszego przypadku dwudziesto-cztery milową drogę i w czasie tego czternasto-godzinnego oddalenia się z Londynu, nie jadło w przecięciu tylko dwa razy. Taż sama masa ludzi dla odbycia takiéj drogi przed dwudziestą laty, byłaby potrzebowała dwóch dni, 40,000 koni i sześć obiadów.

Artezyjska studnia, którą niedaleko Paryża wywiercono, na którą wielkie summy wydano, i z któréj podostatkiem najczyściejszéj wody sobie obiecywano, staje się teraz bardzo uprzykrzoną i niepokojącą, wydaje bowiem czarną, z piaskiem zmieszaną wodę w większéj obfitości, niżby jéj cały Paryż w jednym roku potrzebował — gdyby się na co przydać mogła. Jeżeli to ciągle tak potrwa, tedy Paryżowi zalanie brudną wodą zagraża.

Partyja wista. Prawie cały wieczór, opowiada pewien Anglik o swoim pobycie w Indyjach, graliśmy wista. Maxey, któremu karta zawsze dopisywała, wygrywał bez ustanku; twarz jego spromieniona była radością, podczas gdy twarz kolegów jego stawała się coraz bardziéj przeciągłą i osępiała. Aż oto nagle zmienił on swoję minę, zdawał się ociągać, chociaż wprzódy grał śmiało. »A grajże wpan panie Maxey; czegoż się ociągasz?« rzekł do niego Churchill. — »Ciszéj!« odrzekł Maxey, który widocznie zbladł na twarzy. — »Czyś zasłabł?« zapytał drugi i chciał wstać od stolika. — »Dla

miłości Boga, siedź wpan cicho«, odrzekł Maxey struchlałym głosem; »a jeżeli ci cokolwiek zależy na mojém życiu, nie ruszaj się z miejsca; a jak się ruszysz, już po mnie!« Spojrzeliśmy na siebie z zadziwieniem, a on dodał: »jeszcze nie tracę całkiem nadziei; w około nogi mojéj owinął się wąż *Cobra de Capello*.« — Przez instynkt dla własnego bezpieczeństwa chcieliśmy odsunąć nasze krzesła, ale błagające wejrzenie przyjaciela wstrzymało nas od tego zamysłu; wiedzieliśmy także naprzód, że jeżeli wąż opuści Maxeja dla owinięcia się w około drugiego z nas, na tenczas i ten drugi niezawodnie ofiarą padnie, gdyż tak straszne jest ukąszenie tego jadowitego węża. Biédny Maxey miał na sobie krótkie spodnie i jedwabne pończochy, więc dokładnie czuł wszelkie poruszenia tego zjadliwego gadu. Po chwili zbladł jak chusta, mówiąc kilka słów, ledwo ruszył ustami; nie ważył się prawie oddychać, tak bardzo obawiał się niepokoić swego nieprzyjaciela i zgubny skutek przyspieszyć. I nas ogarnęła nie mniejsza trwoga. »Dla miłości boskiej przynieście mléka... Postawcie blizko mnie na podłodze talérz z mlékiem, i rozlejcie cokolwiek«, rzekł po niejakim czasie. — Jeden z służących oddalił się... »Los mój wkrótce się rozstrzygnie«, mówił nieszczęśliwy daléj. »Mam w Europie żonę i dwoje dzieci; powiedźcie im, że błogosławiąc ich oddałem Bogu ducha mego. Do nich należą ostatnie myśli moje... Wije się coraz daléj ku stawie kolana... Czuję jego oddech! Ach Boże, mamże umrzéć!«... Przyniesiono mléko; służący postawił je na podłodze i odszedł jak trup blady. »Nic to nie pomaga«, mówił Maxey daléj, »wąż coraz mocniej owija się w około mojéj nogi... boję się nawet nań spojrzéć... Boże, przyjmiéj łaskawie ducha mego i przebacz mi... Teraz cokolwiek się odlepia... Czy może do którego z was chce się zwrócić? — Nie, poczuł mléko... Nie ruszajcie się! Chce mnie opuścić, ale miéjcie się na ostrożności! Churchillu, ja sądzę, że wąż zwraca się ku tobie!« Churchill nie ruszył się. W téj chwili spojrzał Maxey pod stół. Wąż opuścił jego nogę i zwrócił się do mléka. »Jestem ocalony!« zawołał poskoczywszy i odtrąciwszy krzesło, poczém padł zemdlony w ramiona swego służącego, który go wyniósł z pokoju. Rozumié się samo przez się, żeśmy w okamgnieniu wszyscy za nim wybiegli. Węża, gdy wyłaził przez okno, szablą zabito. Z tém wszystkiém wypadek ten pociągnął za sobą smutne skutki. Maxey nie mógł się upamiętać z tego przestrachu; chorował on przez lat kilka, a nakoniec pożegnał się wcześnie z tym światem.

Proces z dziécięciem. Przed sąd policyi poprawczéj przyprowadzono niedawno dwunasto-letniego o tułactwo obwinionego chłopca, po którego postaci, znalezieniu się i ubiorze widać było, że do majętnych rodziców należy. Biédny ten chłopiec przeniknięty najszczerszym żalem, płakał rzewnie; sam nawet prezydent uprzejmą i łagodną swą mową uspokoić go nie mógł. Prezydent: »Wczorajszéj nocy przydybano cię późno na publicznéj ulicy, — dla tego o tułactwo jesteś obwiniony.« — Chłopiec: »Prawda mój panie! — tak mi powiedziano... alem ja piérwéj o tém nie wiedział... mocno teraz żałuję.« — Prezydent: »Jednakże to musiałeś wiedzieć, iż o tym czasie nie wolno ci było z domu twego ojca wychodzić.« — Chłopiec: »Już rano wyszedłem z domu, gdyż byłem bardzo nieszczęśliwy i nie śmiałem powrócić.« — Prezydent: »Mówisz, żeś był bardzo nieszczęśliwy; toż może źle się z tobą obszedł twój ojciec? może cię bił?« — Chłopiec: »Ach tak, tak mój panie... często... i bardzo często.« — Prezydent: »Za cóżto bił cię twój ojciec?« (Chłopiec płacze mocno i nie odpowiada.) »Uspokój się moje dziécię, i opowiédz mi wszystko — nie obawiaj się niczego — czy ma ojciec jaki powód użalania się na ciebie?« — Chłopiec: »Nie, mój panie, ja czynię wszystko, co tylko mogę dla pozyskania jego łaski. Chodzę równie jak i mój brat do szkoły, a nauczyciele chwalą mnie z pilności. Nié wiém, czém się to dzieje, ale on nie kocha mnie tak, jak mego brata.« — Przywołano ojca na świadectwo. Prezydent: »Syna wpana uwięziono za tułactwo po ulicach. Dla czegożto on uszedł z domu wpana?« — Ojciec: »Nie wiém tego mości prezydencie.« — Prezydent: Dziecię utrzymuje, że go wpan nie kochasz, a nawet częstokroć bez powodu karzesz.« (Ojciec nie odpowiada.) — Prezydent (surowo): »Odpowiadaj wpan!... Dziécię to zdaje się być bardzo łagodne i potulne. Jeżeli to, co powiada, jest prawdą, więc zachowania się wpana pojąć nie umiem.« — Ojciec: »Mości prezydencie, uczucia moje biorą górę nad mym rozumem, — ja tego chłopca kochać nie mogę. Zadawałem sobie wszelkiéj pracy, ale widzę, iż się na żaden sposób przezwyciężyć nie zdołam.« — Prezydent: »Mowa wpana nie jest mową rozsądnego człowieka.« — Ojciec: »Z tém wszystkiém jest szczérą prawdą.« — Prezydent: »Przecież surowe to obchodzenie się z dzieckiem musi mieć jakowyś powód, oświadcz się wpan dokładniéj.« — Ojciec: »Dziecię to przyszedłszy na świat, odebrało życie swéj matce — tego nigdy zapomnieć mu nie mogę — bo skoro na nie spojrzę, odnawia się żal za stratą mojéj najukochańszéj małżonki.« — Prezydent: »Żal ten jest bardzo naturalny, ale przecież wpan rozważyć powinieneś, iż to dziécię nie może być odpowiedzialném za nieszczęście, które wpana dotknęło.« — Ojciec: »Wiém o tém bardzo dobrze, ale w téj mierze nie mogę być panem uczuć moich. Żona moja była sercu memu zbyt drogą!...« — Prezydent: »Przecież to naturalne tkliwe przywiązanie wpana powinnoby równo spływać na oboje dzieci jego.« — Ojciec: »Prawda, przyznaję — jednakże — przezwyciężyć się nie mogę.« — Prezydent: »O! nie gadałbyś wpan tak niedorzecznie! Bo choć nie możesz być panem uczuć, to przecież powinienbyś być panem czynności swoich; wpan ściągasz na siebie wielką karę, że się tak nieludzko z tym biédnym malcem obchodzisz. Nie jestże on już dosyć pożałowania godnym, że matkę utracił, a wpan go jeszcze ojcowskiéj miłości pozbawiasz! — Czy żądasz zwrotu swego dziécięcia?« — Ojciec: »I owszém, proszę, ażeby mi go oddano.« — Prezydent: »Ale pamiętaj, że odbiérając to dziécię, bierzesz na siebie także obowiązek, iż się z niem sprawiedliwie i ochronnie obchodzić będziesz.« — Ojciec: »Uczynię to mości prezydencie.« — Prezydent: »Nie zapominaj nigdy o obowiązkach ojcowskich ku niemu... Pamiętaj o tém i rozważ, iż tém tylko dowiedziesz przywiązania ku swojéj zmarłéj małżonce, gdy uszczęśliwisz dziécię, które ci umiérając w pociechę zostawiła... Pamiętaj, iż w czasie przyjdzie chwila, w któréj ona od wpana strasznéj odpowiedzialności za obchodzenie się z jéj dziécięciem zażąda!...« — Ojciec wzruszony do żywego tą mową, przyrzekł prezydentowi, że na przyszłość z równą miłością to dziécię kochać będzie. — Prezydent: »Sąd liczy na to.« — Poczém dziécię zwrócono ojcu, który je podwakroć z najżywszem rozrzewnieniem uściskał.

Redaktor Jan Nep. Kamiński. — Nakładem Spadkobierców Franciszka Krattera.
Drukiem Piotra Pillera.